

## WĘGIERSKIE ŚLADY W MAŁOPOLSCE\*

Przez długie stulecia bezpośrednie sąsiedztwo Małopolski i Węgier wyznaczała wspólna granica biegnąca głównym grzbietem Karpat i Tatr. A warto dodać, że przez cały ten czas była to chyba najtrwalsza granica w Europie. Sprzyjało to ożywionym kontaktom kulturalnym i handlowym, a także powstawaniu bliskich związków dynastycznych pomiędzy władcami znad Wisły i znad Dunaju. Żadna inna część Polski nie posiada u siebie tylu świadectw węgierskiej obecności jak właśnie ta, usytuowana u stóp Karpat i Tatr. Małopolska była bramą dla Polski w kierunku południowym, a jednocześnie Węgom otwierała drogę na północ w stronę Bałtyku. Przez tutejsze górskie przełęcze często przeproważyły się dyplomatyczne poselstwa i królewskie orszaki, tędy prowadziły najważniejsze szlaki kupieckich karawan.

Najdawniejszy i najbardziej uczęszczany z tych szlaków łączył Kraków z Budą, a także z Koszycami. Ze stolicy Polski trakt kierował się na wschód do Niepołomic i Bochni, tam skręcał na południe i przez Stary Wiśnicz, Lipnicę Murowaną, Czchów, Stary Sącz docierał do przełomu Popradu, aby przez Piwniczną znaleźć się w Lubowli. Stamtąd kierował się na południe i przez Lewoczę trafiał do Budapesztu, albo odchodził na wschód, by przez Lipiany i Preszów osiągnąć Koszyce.

Na południe wożono głównie sukno, zarówno to sprowadzane z Flandrii, jak też i miejscowe, wytwarzane w Małopolsce. Dużym wzięciem tradycyjnie cieszyły się też na Węgrzech i inne małopolskie towary: wydobywany w Olkusz i Sławkowie ołów oraz bocheńska i wielicka sól kamienna. Z Węgier natomiast przywożono miedź, żelazo, wosk, wina, futra i skóry. Te towary często wędrowały jeszcze drogą lądową do Torunia, skąd zabierały je dalej w świat pełnomorskie statki.

W dużym skrócie (na przykładzie wybranych miejscowości) ukazujemy ślady węgierskiej obecności w naszym regionie. W poszukiwaniu tych śladów wędrowki rozpoczynamy od Tarnowa – najbardziej węgierskiego miasta z polskich miast.

### TARNÓW

Miasto o wielowiekowej, sięgającej czasów piastowskich historii, odwiedzane jest przez turystów z Węgier nadzwyczaj często. Nic dziwnego; wszak to właśnie tu przyszedł na świat wspólny bohater dwóch bratnich narodów – generał Józef Bem. Tutaj

---

\* Fragmenty z przewodnika po Małopolsce napisanego na zlecenie Urzędu Marszałkowskiego Województwa Małopolskiego.

za sprawą węgierskiej rodziny Lippóczych, już od drugiej połowy XVIII w., delectowano się wyrafinowanym smakiem węgierskiego wina, sprowadzanego z niezbyt odległego Tokaju. I wreszcie; nie przypadek to, że jednym z miast partnerskich Tarnowa jest węgierskie Kiskőros – rodzinne miasto Sandóra Petőfięgo.

Spacer malowniczymi zaułkami Tarnowa to okazja do „spotkania” z walecznym generałem – legendą Polski i Węgier, jego adiutantem a zarazem jednym z najwybitniejszych węgierskich poetów, a także z innymi postaciami, które naśladowując bohaterów Wiosny Ludów, przyczyniły się do zacieśniania polsko-węgierskich więzi. Mamy w Tarnowie Plac im. Generała Bema, ulicę i szkołę jego imienia; mamy Plac Sandóra Petőfięgo, Dom Dziecka im. Bema i Petőfięgo, mamy ulicę Norberta Lippóczy’ęgo. Pomników i tablic pamiątkowych, dokumentujących wspólne, polsko-węgierskie dzieje napotkać można w tym mieście bez liku. Co jakiś czas odbywają się tu międzyszkolne konkursy recytatorskie poezji węgierskiej, a z całą pewnością żadne z małopolskich miast nie może się równać z Tarnowem pod względem liczby mieszkańców władających językiem Sandóra Petőfięgo. Z większą lub mniejszą swobodą, ale jednak. O zbliżenie obu kultur i – co za tym idzie – przełamywanie bariery językowej skutecznie dba powołane w 1956 r. Tarnowskie Towarzystwo Przyjaciół Węgier, przekształcone ze Społecznego Komitetu Pomocy Węgom. Nawet panujący w Tarnowie mikroklimat (najcieplejsze z polskich miast) zdaje się nawiązywać do temperatury polsko-węgierskiej przyjaźni. A że wszystko zaczęło się parę wieków temu od wina, wypada tu nadmienić o dzisiejszym odrodzeniu polskiego winiarstwa, również i w okolicach słonecznego Tarnowa.

Tarnów to miasto wielokulturowe. Na przestrzeni wieków znajdowały tu swoją przystań różne nacje: Żydzi, Niemcy, Ukraińcy, Szkoci, Austriacy, Czesi, Cyganie. I wszyscy pozostawili w tym mieście swój trwały ślad. Napotkamy tu największy (po Krakowie) kompleks zabytkowy w południowej Polsce. Można zatem patrzeć na to niezwykle małopolskie miasto przez pryzmat polsko-węgierskich związków; można podążać szlakiem włoskiego renesansu, zadumać się nad tragicznymi żydowskimi ścieżkami, albo też wędrować po śladach ostatnich cygańskich taborów.

### **Tarnowskie ślady obrońcy Siedmiogrodu**

Plac Generała Bema (dawniej zwany Burkiem lub Placem Świętego Ducha) może stanowić początek wędrowki szlakiem pamiątek po bohaterze Wiosny Ludów. Po jego północnej stronie stoi bowiem dom z pamiątkową tablicą wmurowaną w ścianę, wskazującą na miejsce urodzin wybitnego tarnowianina. Umieszczono ją tu w 1910 r. w 60. rocznicę śmierci generała. Natomiast w renesansowym Ratuszu na Rynku, będącym siedzibą Muzeum znajduje się stała wystawa poświęcona życiu i działalności generała Bema. Stare, wychodzące z Rynku uliczki zaprowadzą do placu obok miejskich murów, gdzie od 1985 roku stoi spiżowy pomnik przedstawiający Bema w węgierskim płaszczu generalskim, z napisem na cokole: „Generał Józef Bem. Tarnowianin. bohater Polski i Węgier”. Pomnik powstał z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Węgier, którego siedziba mieści się nieopodal. Skłaniająca do zadumy, klasycystyczna w swej formie budowla w parku miejskim, dawnym Ogrodzie Strzeleckim Bractwa Kurkowego to Mauzoleum generała Bema. Z daleka widoczne, wysmukłe kolumny zwieńczone korynckimi kapitelami dźwigają sarkofag z prochami bohatera Wiosny Ludów. Całość otaczają kule, symbolizujące artylerię.

Mauzoleum umieszczono na wysepce w środku malowniczego stawu, który w lecie porastają lilie wodne. Stało tu w 1929 r., a zaprojektował je znany krakowski architekt, prof. Adolf Szyszko-Bohusz, kiedy władze Tarnowa podjęły starania w celu sprowadzenia prochów generała z Aleppo. Trumnę przywieziono specjalnym pociągiem, którego trasa przebiegała przez Jugosławię i Węgry. Ojculek Bem tak za życia jak i po śmierci wszędzie witany był z wielką pompą. Szczególne przyjęcie zgotowali mu mieszkańcy Budapesztu, którzy odwiedzali trumnę z prochami wystawioną na widok publiczny w budapeszteńskim Muzeum Narodowym. Kolejny przystanek miał miejsce w Krakowie, gdzie na kilkanaście godzin trumna spoczęła na dziedzińcu Zamku Królewskiego na Wawelu. Kiedy specjalny pociąg wjechał w końcu na tarnowski dworzec, został przywitany przez 21 salw armatnich oraz melodie trzech hymnów państwowych: Polski, Węgier i Turcji. Prochom generała na miejsce spoczynku towarzyszył pochód wiwatujących tarnowian stłoczonych wzdłuż całej trasy od dworca kolejowego do miejsca przeznaczonego na mauzoleum. Wcześniej istniały projekty, by pochować generała w Warszawie lub Krakowie, ale ostatecznie zdecydowano, że to właśnie Tarnów, rodzinne miasto wielkiego Polaka przyjmie jego prochy. Na sarkofagu znajduje się napis „Józef Bem”, oraz daty 1794 – 1850 – 1929. Obok tekstu w języku węgierskim („Ojculek Bem węgierskiej wolności największy obrońca 1848–1849”) i tureckim.

## Węgierski zakątek

Jest w Tarnowie miejsce, którego nie można pominąć, jeśli chce się poznać dzieje polsko-węgierskiej przyjaźni. Plac Sándora Petőfiiego przy ul. Krakowskiej to – można rzec – skrawek Węgier w tym najbardziej węgierskim z polskich miast. Popiersie najwybitniejszego przedstawiciela węgierskiej poezji romantycznej, przywódcy ideowego budapeszteńskiej młodzieży, a do tego adiutanta generała Bema stało tu w 1986 r. jako dar węgierskiego rządu.

Pomnik księcia węgierskich strof to nie jedyny naddunajski akcent w zacisznym, odizolowanym od ruchu ulicznego skwerku, który zachęca do refleksji nad wspólną historią. 26 maja 2001 r., w 170 rocznicę jednej z bitew Powstania Listopadowego – pod Ostrołęką, w której odznaczył się bohaterstwem gen. Bem, stała tu podarowana miastu przez Węgrów tzw. Brama Szeklerska im. Józefa Bema i Sandora Petőfiiego. Osobliwa, bogato zdobiona drewniana brama nie posiada drzwi; jest zawsze otwarta, jak zawsze otwarte i gościnne są serca Szeklerów. Widnieje na niej napis: „Pokój wchodzącym, błogosławieństwo wychodzącym”. Stała tu jako symbol mocnych i trwałych polsko-węgierskich więzi.

To jeszcze nie wszystko. Tajemnicze drewniane słupy to tzw. kopijniki (węg. kopjafá), stawiane na grobach węgierskich wojowników dla upamiętnienia ich bohaterskich czynów. Zwyczaj został przejęty od zamieszkujących Siedmiogród Szeklerów, którzy kulturowali go przez wieki. Starszy z nich, postawiony w 2006 r., poświęcono pamięci Forgona Mihály'ego z Mihályfalusi (1885–1914), węgierskiego prawnika, historyka i żołnierza, który w wyniku ran odniesionych podczas walk o twierdzę Przemyśl w 1914 r. zmarł po przewiezieniu do Tarnowa i tu został pochowany. Niestety, cmentarz wojenny nr 202 w Tarnowie, gdzie spoczął, został zniszczony w latach 70. ubiegłego wieku. Zatem drewniana figura przy Bramie Szeklerów, to jego symboliczny pomnik nagrobny.

W 2008 r. węgierski skwerek wzbogacił jeszcze jeden kopijnik, tym razem wystawiony ku pamięci Norberta Lippóczy'ego – zmarłego w 1996 r. Węgra, który ukochał rodzinne miasto generała Bema i – podobnie jak kiedyś ów bohaterski generał – przyczynił się do zacieśniania polsko-węgierskich więzi.

W 2008 r. węgierski skwerek wzbogacił jeszcze jeden kopijnik, tym razem wystawiony ku pamięci Norberta Lippóczy'ego – zmarłego w 1996 r. Węgra, który ukochał rodzinne miasto generała Bema i – podobnie jak kiedyś ów bohaterski generał – przyczynił się do zacieśniania polsko-węgierskich więzi.

## Wielka bitwa na płótnie

Muzeum Okręgowe w Tarnowie prowadzi akcję poszukiwania zaginionych fragmentów monumentalnego dzieła, tzw. Panoramy Siedmiogrodzkiej. Obraz-panorama z 1897 roku z wielkim rozmachem przedstawiający zdobycie Sybinu w czasie powstania węgierskiego (15 marca 1849 r.), znany też pod nazwami Bem i Petőfi, Bem w Siedmiogrodzie, Bitwa pod Sybinem, został namalowany przez grupę artystów pod kierunkiem znakomitego polskiego batalisty Jana Styki. Olej na płótnie o imponujących rozmiarach 15 m x 120 m tworzyli malarze węgierscy: Tihamer Margitay, Palo Vago i Bela Spanyi, polscy: Tadeusz Popiel, Zygmunt Rozwadowski i Michał Wywiórski oraz niemiecki malarz Leopold Schonchen). Obraz wystawiano we Lwowie, Budapeszcie i Warszawie. Niestety, wkrótce po prezentacji został pocięty na kawałki, które sprzedano do prywatnych kolekcji w Polsce i za granicą. Odnalezione części ogromnego obrazu znajdują się dzisiaj w zbiorach polskich muzeów (Warszawa, Tarnów, Krosno, Łęczycza). Własnością tarnowskiego Muzeum jest kilka fragmentów, w tym największy 385 x 328 cm, przedstawiający tyły armii węgierskiej podczas bitwy o Sybin, gdzie dowodził gen. Józef Bem w dniu 11 marca 1849 r.

Honorowy Obywatel Miasta Tarnowa, Norbert Lippóczy przyszedł na świat w roku 1902 w Tállyi, nieopodal Tokaju. Od kilku pokoleń pasją szlacheckiej rodziny Lippóczych była produkcja wina, zwanego w Polsce węgrzynem. Skapane w słońcu stoki Tokaju rodziły jedyną w swoim rodzaju winorośl dającą wyśmienite wino typu aszu, które – za sprawą Lippóczych – trafiło na polskie stoły w 1764 r., a na przełomie XIX i XX wieku zasmakowali w nim nawet Amerykanie. Ojciec pana Norberta (Norbert Lippóczy senior), będąc zaprzysiężonym dostawcą win mszalnych, przybył osobiście do Tarnowa w 1929 r., by odnowić przerwane działaniami wojennymi kontakty handlowe. Otworzył wówczas w Tarnowie ekspozyturę składu win, którą miał pokierować jego syn (również Norbert), absolwent Akademii Rolniczej w Debreczynie. W taki oto sposób, w życiu Norberta Lippóczy'ego rozpoczął się nowy, tarnowski rozdział, który z powodzeniem mógłby stać się materiałem na filmowy scenariusz. Na samym początku II wojny światowej, Lippóczy-junior został aresztowany na granicy przez NKWD i trafił na pięć lat do sowieckich łagrów. Do Tarnowa mógł powrócić dopiero po śmierci Stalina w 1953 r., po 14 latach rozłąki z żoną, Kornelią. Jego firma, zgodnie z panującym po wojnie trendem, została upaństwowiona i wchłonięta przez Zakłady Spożywcze „Powin”, w których pan Norbert dostał pracę jako kierownik octowni. W dramatycznym roku 1956, kiedy tarnowianie spontanicznie pomagali Węgrom walczącym z sowiecką okupacją, Lippóczy organizował dary krwi i towarów niezbędnych do życia dla mieszkańców Budapesztu. Wówczas też był jednym z założycieli istniejącego do dziś w Tarnowie Towarzystwa Przyjaciół Węgier.

Ten niezwykle aktywny człowiek o wielkim sercu, niebywalej energii i wielu pasjach, był również wybitnym kolekcjonerem i pozostawił tarnowianom mnóstwo pamiątek, które w swym długim życiu zgromadził. Jego imponująca, licząca 25 tys. sztuk kolekcja ekslibrisów (jedna z największych na świecie), tematycznie związanych z winiarstwem i winną latoroślą, trafiła w ogromnej większości do Muzeum Okręgowego w Tarnowie. Natomiast Muzeum Diecezjalne w tym mieście (najstarsze w Polsce) zostało obdarowane wspaniałymi zbiorami sztuki ludowej (malarstwo na szkłe z Europy i nie tylko), którą właściciel przebogatej kolekcji ukochał nade wszystko.

W roku 1992, w 90. rocznicę swych urodzin Norbert Lippóczy został mianowany Honorowym Obywatelom Miasta Tarnowa. Zmarł cztery lata później. Tarnowianom jeszcze dziś brakuje miłego, kulturalnego i zawsze wszystkim życzliwego starszego pana, który trzymając żonę za rękę, spieszy tam, gdzie dzieje się coś ważnego dla miasta. A to koncert, a to wystawa, albo jakaś inna uroczystość. Wraz z żoną Kornelią stanowili nierozłączną parę do samej śmierci. Razem też spoczywają na Starym Cmentarzu w Tarnowie. Norbert Lippóczy został odznaczony m. in. Orderem Gwiazdy Republiki Węgierskiej i odznaką Zasłużony dla Kultury Polskiej.

## STARY SĄCZ

Jak sama nazwa wskazuje, Stary Sącz do miast młodych wiekiem nie należy. Być może osadę w widłach Dunajca i Popradu założył już Bolesław Chrobry w XI w., a hipoteza ta nie jest pozbawiona racji, skoro wiadomo, że tędy właśnie przebiegał historyczny szlak na Węgry i południe Europy. Przez dzisiejszą Kotlinę Sądecką mogła też wieść trasa kupieckich karawan obciążonych towarem niezwykle cenionym w pierwszych wiekach naszej ery – bursztynem. Kontakty Sądeczyny z Węgrami przetrwały zresztą do dziś. Jednym z miast partnerskich Starego Sącza jest węgierskie Keszthely nad Balatonem; Nowy Sącz natomiast podpisał umowę partnerską z leżącym na Wielkiej Nizinie Węgierskiej Kiskunhalas, słynącym z wyrobu regionalnych koronek.

Stary Sącz przyciąga dziś magią miejsca, które zachowało swój dawny klimat. Jego kwadratowy rynek to przykład zwartej, średniowiecznej zabudowy. Powstałe w sąsiedztwie klasztoru miasto, to znany w świecie ośrodek propagowania muzyki dawnej, wreszcie – za sprawą św. Kingi – miasto kontemplacji i modlitwy.

### Święta Kinga – starosądecka gospodyni rodem z Węgier

Żona księcia krakowsko-sandomierskiego Bolesława Wstydliwego otrzymała ziemię sądecką od męża jako rekompensatę za posag przeznaczony na odbudowę kraju po najazdach Tatarów. Dobra, które na mocy dokumentu spisane go na zjeździe w Korczyniu w 1257 r. trafiły pod opiekę Kingi, obejmowały obszar trójkąta Biecz – Limanowa – Podoliniec (dziś Słowacja). Księżna ziemi sądeckiej ufundowała w Starym Sączu dwa klasztory o regule franciszkańskiej: męski i żeński. W tym drugim, o regule św. Klary, siostry klaryski gospodarują nieprzerwanie do dziś. Po śmierci księcia Bolesława starosądecki klasztor stał się domem księżnej, która swoje dobra przekazała na potrzeby zgromadzenia, zaś sama zdecydowana do śmierci wieść żywot mniszki, przybrała habit św. Klary. Zmarła w Starym Sączu, a kościół ss. klarysek to jej sanktuarium będące celem

licznych pielgrzymek. Papieski ołtarz polowy na starosądeckich błoniach to pamiątka po dokonanej tu przez Ojca Świętego Jana Pawła II kanonizacji Pani Ziemi Sądeckiej (1999 r.). Święta Kinga, która w klasztorze spędziła trzynaście ostatnich lat życia, zapoczątkowała panujący wśród polskich królowych zwyczaj przywdziewania zakonnego habitu po śmierci królewskiego małżonka. Miejscem szczególnie upodobanym przez monarchinię stał się właśnie klasztor klarysek w Starym Sączu. Znalazła tu schronienie królowa Jadwiga, żona Władysława Łokietka, a matka Kazimierza Wielkiego, która zamieszkała w klasztorze po śmierci męża i tutaj została pochowana. Dzieje miasteczka na zawsze spłotyły się z postacią św. Kingi i losami ufundowanego przez nią klasztoru.

## NIEDZICA

### Węgierska forteca z Inkami w tle

Groźnie przeglądająca się w tafli jeziora średniowieczna warownia w Niedzicy skrywa wiele tajemnic. Jak każde stare zamczysko. Ale w tym przypadku historia tej przez wieki należącej do węgierskiej rodziny siedziby obfituje w serię tak nieprawdopodobnych wydarzeń, że próżno by szukać podobnych sensacji w którymkolwiek z zamków na terenie całej Polski. No bo, czyż w najśmielszych oczekiwaniach można przypuszczać, by coś łączyło Niedzicę z odległym Peru w Ameryce Południowej? Albo czorszyńskie jezioro z jeziorem Titicaca w Andach? A jednak są tacy, którzy upierają się, że legendarny testament, a może i część skarbu Inków spoczywa właśnie tu, w spiskich Pieninach, a konkretnie w podziemiach niedzickiego zamku. Fakty splatają się z legendą, zapiski rodzinne mieszają z przekazywanymi z ust do ust, z pokolenia na pokolenie ubarwianymi opowieściami. Wyłania się obraz pełen zadziwiających wydarzeń, ale i prawdziwych dramatów. Bo też pełne tragizmu były dzieje tych, których los związał z niedzickim zamczyskiem.

Historia Dunajca (bo tak pierwotnie zwał się usytuowany po stronie węgierskiej zamek) sięga końca XIII wieku, a pierwszym znanym właścicielem drewnianej jeszcze i skromnej rozmiarami strażnicy był Kokosz Berzeviczy z Tyrolu, poddany węgierskiego króla i pan tychże ziem. Musiał to być człowiek zadziorny i skory do awantur, skoro obdarzono go przydomkiem oznaczającym... koguta. Czy ów Kokosz właśnie ufundował przysły zamek, czy też była to raczej inicjatywa króla, pragnącego stworzyć w tym miejscu przeciwwagę dla leżącego po drugiej stronie granicy, polskiego grodu warownego Wronin, zwanego później zamkiem czorszyńskim? Tego nie dowiemy się pewnie już nigdy.

Burzliwe były dzieje zamku w Niedzicy, który co rusz przechodził z rąk do rąk. Niemal tak niespokojne, jak losy jego kolejnych właścicieli. A to król węgierski Karol Robert konfiskuje majątek Berzeviczych na Spiszu (1326–1342), a to warownia ponownie wraca do przedstawicieli tejże rodziny ale z innej linii (Szwarców), by potem skutecznie oprzeć się najazdowi wojsk husyckich płdrujących Spisz. Był czas, że zamek stanowił własność żupana spiskiego, Emeryka Zapolyi, a potem, zastawiony za 2000 guldenów trafił do chorwackiego rodu szlacheckiego Horvathów. Na pewien czas stał się nawet schronieniem dla bandy rozbójników, którzy z niedzickiego zamku utworzyli świetną bazę wypadową do płdrowania okolicy i łupienia kupieckich karawan. Kiedy stanowił własność polskiej rodziny Łaskich, aż dziewięć razy był przejmowany siłą, bądź też służył jako zastaw w zaciąganych przez nowych właścicieli pożyczkach. Warto zaznaczyć, że przed-

stawiciel tej rodziny, Hieronim Łaski herbu Korab to postać niezwykle barwna, blisko przy tym związana z dworem węgierskim. Jednak historia, która na zawsze powiązała potomków inkaskiej arystokracji i ich legendarny skarb z Polską, wydarzyła się pod koniec wieku XVIII. Właśnie wtedy, jak chce legenda (a może nie tylko legenda?) drogocenny skarb mógł trafić w podziemia zamku w Niedzicy. Ponoć leży tam obok srebrnego sarkofagu, w którym spoczywa inkaska księżniczka o imieniu Umina, która rozstała się z życiem zaszytletowana na zamkowym dziedzińcu.

Ostatni władca Inków nie żył od ponad stu lat, wyładowane inkaskim złotem hiszpańskie statki co rusz zawijały do europejskich portów, kiedy na Podolu przyszedł na świat Sebastian Benesz de Berzeviczy. Pochodził z drobnoszlacheckiej rodziny spokrewnionej z tym samym potężnym rodem węgierskim, do którego należał zamek w Niedzicy. Młody człowiek nieszczęśliwie zakochał się w córce bogatego sąsiada, i – jak to w podobnych przypadkach bywa – rozczarowany opuścił rodzinną ziemię, by szukać zapomnienia w dalekich podróżach. Tułał się jakiś czas po świecie, aż przybył na korsarskim statku do dalekiego Peru, gdzie znalazł nową miłość swego życia – Indiankę z książęcego rodu Inków, którą wkrótce pojął za żonę. Ich córka Umina (ta sama, która rzekomo spoczywa gdzieś w niedzickim zamku) poślubiła Tupaca Amaru – kandydata do inkaskiego tronu i zarazem spadkobiercę tego, co pozostało z wielowiekowego dziedzictwa jego ludu. Małżonek Uminy otrzymał imię po swym wielkim przodku ostatnim (dziwienastym) królu i przywódcy Inków, straconym przez Hiszpanów w 1572 r. Niestety, wobec represji, jakie spotykały ludność peruwiańską ze strony kolonizatorów hiszpańskich, trzeba było opuścić Amerykę, a część skarbu Inków ukryć w jeziorze Titicaca. Sebastian z córką i zięciem schronili się w Europie i przez dziesięć lat mieszkali w Wenecji. Jednak właśnie w Italii, Tupaca Amaru, niedoszłego władcę Inków dosięgnęła ręka hiszpańskiej inkwizycji, został bowiem w tajemniczych okolicznościach zaszytletowany. Sebastian Berzeviczy w obawie o bezpieczeństwo rodziny, powrócił wraz z córką Uminą i rocznym zaledwie wnukiem na Węgry. Wydawać by się mogło, że tu, w niedzickim zamku, posiadłości Berzeviczych nic złego ich już spotkać nie może. Jakże złudne były to jednak przypuszczenia! Uminę spotkał taki sam los jak jej męża, Tupaca. Tym razem inkwizytorski sztylet odnalazł ofiarę na dziedzińcu zamkowym w Niedzicy, a zdruzgotany ojciec, Sebastian Berzeviczy pochował córkę w srebrnej trumnie pod tzw. basztą kapliczną. Szczęśliwym trafem, służbie udało się ukryć kilkuletniego Unkasa. Schorowany i leciwy już wtedy Sebastian, nie mogąc zapewnić potomkowi inkaskich książąt należytej opieki, oddał go do adopcji krewnemu, Waclawowi Beneszowi Berzeviczy. Dla bezpieczeństwa, w akcie adopcyjnym zmieniono chłopcu imię na Anton. Waclaw zobowiązał się zapewnić dziecku odpowiednie wykształcenie, ochronę przed prześladowcami, a gdy osiągnie odpowiedni wiek – wyjawić tajemnicę testamentu Inków. Nota bene, jeden z akapitów dokumentu mówił o sporządzeniu jego kopii w węzełkowym języku kipu i ukryciu jej na zamku „pod ostatnim stopniem schodów drewnianych na górny zamek wiodących”. Anton Benesz wychował się w Krumłowie na Morawach, został, podobnie jak jego przybrany ojciec, mistrzem krawieckim i nie zajmował się badaniem rodzinnych tajemnic, uznając to zajęcie za zbyt niebezpieczne. Taką też naukę przekazał swoim synom.

Intrygująca historia ma jeszcze jedną, bardziej współczesną odsłonę. Po wojnie, w 1946 r. zjawił się w Niedzicy prawnuk Antona, Andrzej Benesz z Bochni, który na serio zabrał się do porządkowania rodzinnych archiwów. Wyposażony w dokumenty, w obe-



ności czorsztyńskiego sołtysa i grupki świadków odnalazł pod zamkowymi schodami 18-centymetrową tubę z ołowiu z ukrytymi wewnątrz tajemniczymi węzłkami przypominającymi indiańskie kipu. Przymocowane do rzemieni trzy złote blaszki miały wygrawerowane nazwy: Titicaca, Vigo i Dunajec. Były to więc klucz do rozszyfrowania tajemnicy skarbu Inków? Jedną jego część ukrywałyby zatem wody najwyższego położonego jeziora świata lub któraś z jego wysepek, druga znalazłaby schronienie w porcie Vigo w hiszpańskiej Galicji, a trzecia... No właśnie! Dunajec, to przecież niedzicki zamek! Znaleźisko zostało ponoć przekazane ambasadzie Peru w Warszawie w celu odczytania i odtąd jego los nie jest znany. Andrzej Benesz zaś, w latach 70-tych ubiegłego stulecia poseł i wicemarszałek sejmu, zginął w wypadku samochodowym w 1976 r.

Ile w tej historii prawdy? Otóż dokumenty w Wenecji faktycznie potwierdzają obecność w mieście w końcu XVIII wieku uciekinierów z Peru. Natomiast w kościele św. Krzyża w Krakowie odnaleziono akt adopcji Antonia Inki oraz akt chrztu chłopca zwanego Anton Benesz. Sarkofagu Uminy nigdy nie odnaleziono. Radiesteci jednak twierdzą, że prace prowadzone były zbyt płytko; nie mają wątpliwości, że głęboko pod zamkiem znajduje się loch... Czy jednak, wobec tylu nieszczęść, które w przeszłości spadły na węgiersko-indiańską rodzinę, ktoś odważyłby się dziś naruszać tajemnicę synów słońca?

Po najtragiczniejszej ze światowych wojen los ani trochę nie oszczędzał zamku i jego ostatnich węgierskich właścicieli, Salamonów. Spóźnił się Geza Salamon, kiedy w 1945 r. przybył do Niedzicy z zamiarem uratowania rodzinnego majątku. Przed nim „rozgościła się” bowiem w komnatach zamkowych armia sowiecka, a i miejscowa ludność też niewiele ustępowała w swej zachłanności. Nie było już czego ratować, wyniesiono nawet okna i drzwi, pozrywano podłogi. Księgozbiór, obrazy i całe niemal archiwum spłonęło na zamkowym dziedzińcu. Właściciele zamku będąc „wrogami ludu” nie mieli łatwego życia także i w swoim kraju. Ilonę, hrabinę Bethlen Salamon wyrzucono z Budapesztu i po latach spędzonych gdzieś na prowincji, ta przyjaciółka Polski i Polaków zasłużona dla polskiego podziemia kobieta zmarła w budapeszteńskim przytułku dla starców w 1964 r. w wieku 79 lat. Tragiczny los spotkał również jej chorą na gruźlicę córkę Ewę i jej męża hrabiego Laszlo Teleki, który po długoletnim pobycie w więzieniu wyszedł na wolność w 1956 r. Ewa i Laszlo mieli dwoje dzieci, które wywiezione z Węgier przez Czerwony Krzyż, wychowywały się w domu dziecka w Szwajcarii. Rodzice marzyli o spotkaniu ze swymi pociechami, których nie widzieli od 10 lat i długo walczyli o tę możliwość. W doprowadzeniu sprawy do finału pomagali im dawni znajomi z Czorsztyna – Drohojewscy i Jan Zamoyski, pracownik Swiss-Air. Wreszcie, w 1962 r. dzieci Salamonów przywieziono do Warszawy, gdzie miały czekać na rodziców, a więc w końcu Ewa i Laszlo uradowani wsiedli do pociągu w Katowicach. Już po paru godzinach mieli znaleźć się w stolicy. Niestety, finał nie okazał się szczęśliwy. Salamonowie nigdy już nie zobaczyli swoich dzieci, bo nie dane im było dojechać do Warszawy. Oboje zginęli w słynnej katastrofie kolejowej pod Piotrkowem.

Usytuowany pomiędzy zamkiem a grzbietem góry Tabor rodowy cmentarz Salamonów, założyła ostatnia właścicielka zamku – Ilona Salamonowa w 1936 r. Sprowadziła tam prochy swego męża Gezy (grobowiec położony najwyżej). W pobliżu spoczywają jeszcze brat Gezy, Andor oraz jego stryj i imiennik Geza, właściciel Pławca. Staraniem rodziny, w zgodzie z wolą zmarłych, w 1977 r. na rodowy cmentarzyk zostały również sprowadzone prochy Ilony i jej syna Istvana.



W muzeum w Niedzicy znajduje się stała ekspozycja pod tytułem „Zamek w Niedzicy – historia, archeologia, architektura”, a ponadto ekspozycje etnograficzne z terenów Spisza, w tym interesująca kolekcja zegarów. Pod koniec ubiegłego stulecia, Akos Engelmayer (ambasador Węgier w Polsce w latach 1990–1995) ofiarował Muzeum swoją kolekcję polskich hungarików (map Węgier z XVI–XX w., rycin z wizerunkami węgierskich królów, zamków, miast i pól bitewnych, starodruków itp.), która stać się ma zaczątkiem największej kolekcji zbiorów węgierskich poza granicami Węgier.

## BIECZ

### Miasto 331 beczek z węgryzmem

Miasteczko malowniczo usytuowane na jednym ze wzgórz Pogórza Karpackiego, po lewej stronie rzeki Ropy, nie bez racji szczyli się mianem perły Podkarpacia. Z daleka widoczne, pamiętające czasy wieków średnich mury i baszty, zwarta średniowieczna zabudowa to powód, dla którego leżący w powiecie gorlickim Biecz zwykło się nawet zwać – polskim Carcassonne. To jedno z polskich miast posiadających status miasta królewskiego (XIV–XV w.), pełniące w dawnych wiekach rolę ważnej nadgranicznej twierdzy; niegdyś z trzema zamkami, barbakanem i siedzibą królewskiego dworu. Istnieje przypuszczenie, że przez krótki czas w okresie tzw. rozbicia dzielnicowego, za panowania Władysława Łokietka (ojca Elżbiety – małżonki Karola I Roberta) pełniło rolę stolicy państwa (1311–1312). Władysław Łokietek wybrał Biecz ze względu na bliskość Węgier, będących jego sojusznikiem w walce o zjednoczenie kraju.

Miasteczko posiada dziś własny herb i odtworzony z przedwojennych zapisków hejnał, który od niedawna znów rozbrzmiewa z wieży ratuszowej w samo południe. Przez gminę Biecz przebiega szlak unikalnej już architektury drewnianej oraz szlak cmentarzy z I wojny światowej.

Do dziś zachowało się w Bieczu sporo piwnic, w których kiedyś przechowywano beczki z węgryzmem. Na ich budowę zezwolił Kazimierz Wielki już w połowie XIV w., a o rosnącej z czasem popularności trunku przywożonego z Węgier świadczy przeprowadzona w 1618 r. kontrola zapasów, kiedy to zliczono w mieście 331 beczek z węgryzmem. Miasto miało szczęście do koronowanych głów, które nie szczędziły mu przywilejów. Ludwik Węgierski w 1372 r. wprowadził tzw. przymus drożny, w myśl którego kupcy wędrujący z towarami w kierunku na Ruś Halicką mieli obowiązek przejazdu przez Biecz. Król Aleksander Jagiellończyk natomiast wydał miastu w 1505 r. ten sam przywilej w stosunku do wszystkich towarów węgierskich, a zatem – prócz osławionego węgryzna – także żelaza, miedzi, ołowiu, soli i wełny. Dynamiczny rozwój miasteczka, dla swego uroku określanego „drugim Krakowem” przyspieszały też tygodniowe wielkie jarmarki organizowane w mieście raz do roku.

Chyba najbardziej z wszystkich polskich władców upodobała sobie Biecz Jadwiga Andegaweńska – wnuczka Elżbiety Łokietkówny, która po raz pierwszy zawitała w mieście jako młodziutka, dziesięcioletnia zaledwie węgierska królowa przybywająca do kraju swych przodków, by objąć polski tron, a wkrótce poślubić trzydziestosześcioletniego księcia litewskiego, Władysława Jagiełłę. Tutaj bowiem przystanął jej orszak w drodze z granicy na Przełęczy Dukielskiej w Karpatach na Wawel. Biecz stał się wkrótce jednym z ulubionych miejsc królewskiej pary, a całkiem pokażne grono wywodzącej się stąd

szlachty zasiliło szeregi dworzan na Wawelskim zamku w Krakowie (Krystyna z Biecza była przełożoną dwórek królowej Jadwigi). Króla Władysława Jagiełłę podejmowano w mieście aż 22 razy. Królowa zaś uczyniła dla bliskiego sercu miasta tak wiele dobrego, że parę stuleci później (8 VI 2006 r.) nadano jej tu honorowy patronat. Uroczystość zbiegła się z dniem dziewiątej rocznicy jej kanonizacji dokonanej przez papieża Jana Pawła II i ze sprowadzeniem do Biecza jej świętych relikwii.

A zatem, odwiedzając ulubiony przez św. Jadwigę Biecz, warto poszukać w nim śladów królowej przybyłej kilkaset lat temu z Węgier i po dziś dzień kochanej nie tylko przez mieszkańców małego, wyjątkowej urody miasteczka na Pogórze Karpackim, ale i przez wszystkich Polaków.

Piętnastowieczna dzwonnica przy kościele pełniła kiedyś rolę baszty obronnej należącej do cechu rzeźników. Kiedy węgierska królowa przybywała do Biecza, witał ją dźwięk dzwonu, którego serce pękło po II wojnie światowej. Dzwon Urban, odlany w 1382 roku, najstarszy z dzwonów gotyckich w kraju, znalazł po rekonstrukcji miejsce w muzeum w Domu Kromera w Bieczu. I jeszcze jeden, wart odnotowania, węgierski akcent. Trzyście kamiennych figur (tzw. węgierskich), na południowym murze kościoła przedstawia apostołów. Ufundowali je między innymi patnicy z Węgier, a obróbką niezastąpionego kamienia pińczowskiego zajął się w latach 1868–1869 Edward Stehlik z Krakowa.

## MUSZYNA

### Miasteczko nad węgierską granicą

Nikt dokładnie nie wie, kiedy powstała Muszyna. Pierwsze o niej wzmianki pochodzą z 1209 r., kiedy to węgierski król Andrzej II zezwolił proboszczowi Adolfowi z Merano ze spiskiej kapituły św. Marcina na pobieranie cła aż do rzeki Poprad koło Muszyny. Muszyna kusila Węgrów przez następne 150 lat, aż zrezygnowali ze swych roszczeń w 1366 r. Przyszłość miała pokazać, że nie na długo.

Przez szmat czasu miasto należało do biskupów krakowskich, a rządy w nim, w imieniu kościelnych dostojników sprawowali starostowie. Przez prawie 400 lat (1391–1770) rezydowało w Muszynie trzydziestu czterech starostów. Klucz muszyński (bo tak nazywały się biskupie dobra) liczył 450 km<sup>2</sup> i obejmował Muszynę, Tylicz oraz przyległe wsie. Największy rozkwit przeżywało to miniaturowe państewko kościelne za panowania Kazimierza Wielkiego, o którym zwykło się mawiać, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Tak też się stało z Muszyną, którą zatroskany o bezpieczeństwo obywateli władca obdarował prawami miejskimi i warownym zamkiem na wzgórzu. Wcześniej, budowla pełniąca rolę strażnicy i komory celnej była najzwyklejszym drewnianym gródkiem. W czasach króla-budowniczego Muszyna, odebrana wcześniej biskupom krakowskim przez Władysława Łokietka, należała już przez najbliższe 80 lat do głowy państwa (po rządach Kazimierza Wielkiego jako tzw. „królewszczyzna” przypadła Ludwikowi Węgierskiemu, a po nim królowej Jadwidze), w końcu ponownie trafiła w ręce kościelne aż do zaborów. „Państwo muszyńskie” miało nie tylko swoją siłę zbrojną ale również własną administrację i sądownictwo. Oprócz hamików, spokoju w mieście pilnowała tzw. dragonia sołtycka powołana do ochrony rezydującego tu biskupa krakowskiego oraz popospolite ruszenie mieszkańców muszyńskiego państwa. Handel trwał cały okrągły rok; zimą beczki z winem układano na saniach ciągniętych po zamrzniętym Popradzie, wiosną spławiano

na tratwach, a latem ładowano na ciągnące wzdłuż rzeki wozy. Łatwy łup dla grasujących na drogach beskidzkich zbójów, z których niejeden zawisł na szubienicy w Muszynie. Przez miniaturowe państwko kościelne przewijały się też inne towary; z Polski na Węgry wywożono ołów i wielicką sól, z Węgier, oprócz wina sprowadzano miedź, żelazo, owoce oraz śledzie. Miasto posiadało tzw. prawo składu, tzn. kupcy z towarami musieli zatrzymać się na trzy dni, by umożliwić mieszkańcom dokonanie zakupów.

Siły zbrojne państwa muszyńskiego na brak zajęć nie narzekały. Już w 1410 r. ich ofiarność pozwoliła wyjść miastu z opresji, kiedy to – korzystając z faktu, że główne polskie wojska udały się na pola Grunwaldu, na Sądecczyznę wtargnęły oddziały popierającego krzyżaków Zygmunta Luksemburskiego. Niestety, przeszło pół wieku później nie poszło już tak łatwo. Nie dość, że węgierskie wojska Macieja Korwina zniszczyły Muszynę wraz z zamkiem, to jeszcze puściły z dymem około dwieście wiosek aż po samą Duklę, Krosno i Pilzno (1474 r.). Prawdopodobnie była to zemsta węgierskiego monarchy za zniewagę, jaką było odrzucenie jego starań o rękę Jadwigi, córki Kazimierza Jagiellończyka. Na tereny graniczące z Polską król Maciej Korwin oddelegował wówczas 6000 wojska pod dowództwem zmadziaryzowanego Słowaka, Tomasza Tarczaya. Tym razem Węgrzy zostali w Muszynie na całe dwa lata. Odbudowali jednak, na mocy polsko-węgierskiego porozumienia zawartego w spiskiej Starej Wsi, muszyński zamek.

Muszyński zamek miał bronić granicy, nadzorować szlak handlowy oraz pełnić rolę komory celnej. Być może pojawił się tu w wersji drewnianej już w XIII w. za sprawą węgierskich Berzewiczów – przedstawiceli jednego z najznamienitszych węgierskich rodów szlacheckich ze Spisza. We wczesnym okresie istnienia państwa muszyńskiego (do najazdu wojsk Macieja Korwina) rezydował tu starosta. Z okazałej niegdyś budowli (20 x 80 m) na stromym wzgórzu nad zakolem Popradu zachowało się do dziś niewiele. Już w XIX w. zamek był tylko ruiną. Niegdyś brama w potężnej czworobocznej wieży wiodła na dziedziniec do piętrowego dworu starosty. Dziś pozostały jedynie fragmenty murów w części południowej i kawałek ściany wieży. Na ruinach zamku mieszkańcy Muszyny postawili figurę Najświętszej Marii Panny, by odprawiać w tym miejscu nabożeństwa majowe. Najstarsi mieszkańcy Muszyny opowiadają o wykutej w skale studni, z krętymi schodami prowadzącymi do lustra wody. Podobno zniszczyli ją włoscy kamieniarze budujący tunel kolejowy w Żegiestowie. W starym muszyńskim zamczysku szukali ponoć skarbów.

## SZCZAWNICA

### Miłość Józefa Szalaya

Szczawnica to kolejne z położonych na terenie Małopolski uzdrowisk (po Muszynie i Żegiestowie), które swe istnienie i dzisiejszą pozycję na mapie polskich kurortów w znacznym stopniu zawdzięcza przybyšom z Węgier. Piękno Szczawnicy to efekt malowniczego położenia w sąsiedztwie Pienin, gdzie Dunajec przedziera się przez wyjątkowej urody górskie łańcuchy, odsłaniając nagie, wapienne skalne ściany. Ale dzisiejsze piękno Szczawnicy to także rezultat niebywałej energii człowieka, który 40 lat swego życia poświęcił ukochanemu miejscu. Tym entuzjastą bajecznej pienińskiej krainy był Józef Szalay, przedstawiciel węgierskiej rodziny ziemiańskiej, która przywędrowała do

Galicji wraz z pierwszą falą nowej administracji austriackiej (II połowa XVIII w.). Szalayowie przez kilkadziesiąt lat piastowali urzędy cesarskie w Galicji Wschodniej.

Szczawnica trafiła w ręce rodziny Szalayów w drodze licytacji dóbr królewskich wchodzących w skład Starostwa Czorsztyńskiego. Nabyła ją Józefina Szalay (żona Stefana) i już w 1830 r. naprzeciw starego kościółka stanął drewniany dwór, który służył rodzinie niemal do końca XIX stulecia, kiedy to doszczętnie spłonął. Nowi właściciele, nabywszy dodatkowo pole ze źródłami, przystępują do realizacji rodzinnego planu – budowy zdrojowiska. Pierwsze kroki zostały już poczynione, kiedy to podobny zamiysł zaczął wcielać w życie poprzedni właściciel owego pola ze źródłami, mieszczański spiski Jan Kutschera. Szalayowie zastali tam już skromne zabudowania zdrojowe, źródło mineralne ujęte w drewnianą cembrowinę, parę domków dla kuracjuszy i zaczątki parku. Uporządkowali źródła, nadali im swoje imiona (Stefan, Józefina, Józef), a nawet butelkowali szczawnickie wody i niewielkie ich partie wysyłałi w świat. Wzniesli też kilka budynków, a wśród nich reprezentacyjny gmach z pokojami gościnnymi, wozownią i stajniami. „Zamek”, bo tak zwała się owa budowla, został rozebrany w 1933 r.

Kiedy, w 1838 r. umiera Stefan Szalay (spoczywa na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie), na usilną prośbę matki przybywa do Szczawnicy Józef Stefan, by na długie lata objąć zarząd nad rodzinnymi dobrami. Jak się miało okazać w niedalekiej przyszłości – nie zmarnował wyjątkowego daru księżnej Kingi, który przyszła święta przeznaczyła pienińskiej ziemi. To właśnie Józef był faktycznym twórcą kurortu. Za jego czasów Szczawnica stała się najpopularniejszym uzdrowiskiem w Galicji nabierając prawdziwie europejskiego rozmachu. Zbudował pierwsze łazienki, nowe wille i pensjonaty, dał oprawę architektoniczną odkrytym źródłom, powiększył Park Górny. Sprowadził wiele rzadkich okazów drzew, w parku do dziś rosną sadzone przez niego: buki, jodły, lipy, klony, modrzewie, dęby, tuje i sosny. Ponadto zaprojektował i wyposażył w instrumenty kościelne Kaplicę Zdrojową, a nawet umieścił w niej namalowany przez siebie olejny obraz Madonny z Dzieciątkiem (w ołtarzu). Ten absolwent wydziału prawa na lwowskim uniwersytecie, urzędnik z zawodu (wcześniej pracował jako naczelnik ck. Urzędu Skarbowego w Brodach w Galicji Wschodniej), nie dość, że wyśmienicie znał się na zarządzaniu, to jeszcze w wolnych chwilach dawał upust swym artystycznym skłonnościom. Malował i rysował głównie krajobrazy Pienin i Szczawnicę, a swoje dzieło rysunkowe wydał w 1858 r. w *Albumie Szczawnicy*. Józef, zakochany w Pieninach, zajął się również organizowaniem turystyki; osobiście przewodził pierwszym spływom przełomem Dunajca, zainicjował budowę tzw. Drogi Pienińskiej łączącej Szczawnicę z Czerwonym Klasztorem – dziś na terenie Słowacji. Był też jednym z założycieli Towarzystwa Tatrzańskiego (1873 r.). Wszędzie zabiegał o reklamę drogiego swemu sercu uzdrowiska, chemikom zlecał przeprowadzanie analiz chemicznych nowo odkrywanych źródeł, wydał nawet własny przewodnik po Szczawnicy. Udzielał się towarzysko, zapraszał do swego kurortu uczonych, lekarzy, a także osobistości świata kultury: malarzy, poetów, pisarzy. Szczawnicę zaczęła odwiedzać elita arystokracji: Lubomirscy, Sapiehowie, Tarnowscy, Radziwiłłowie. Szalay zaprzyjaźnił się z doktorem Józefem Dietlem – ojcem polskiej balneologii i wielkim popularyzatorem szczawnickiego uzdrowiska. Jeszcze za życia propagatora leczenia uzdrowiskowego, z inicjatywy twórcy pienińskiego kurortu, stanął w Szczawnicy obelisk doktora z tablicą sławiącą jego zasługi. Na uroczystość odsłonięcia pomnika (1865 r.) wielu gości przybyło w kontuszach i z szablami, natomiast sam sprawca wydarzenia wystąpił w stroju węgierskim.

Józef Szalay zapisał swe dobra krakowskiej Akademii Umiejętności. W testamencie zastrzegł, by Zakłady Zdrojowe w całości pozostały przy Akademii, nigdy nie przechodząc na obcą własność. Twórca uzdrowiska zmarł w 1876 r. w Szczawnicy, a przyczyną jego śmierci był prawdopodobnie udar mózgu. Z realizacją testamentu bywało różnie. Akademia Umiejętności nie zawsze wywiązywała się z zobowiązania wypłaty połowy rocznego dochodu z uzdrowiska synom Józefa Szalaya. Ci zaś, wychowywani przez bogatego stryja (Józef pozostawał z mieszkającą w Jaśle żoną w separacji) lekką ręką wydawali pieniądze, zastawiając co tylko się da. W 1909 r. Akademia Umiejętności, wbrew woli testatora, sprzedała uzdrowisko hrabiemu Adamowi Stadnickiemu.

W 2002 r. stanął w Szczawnicy pomnik Józefa Szalaya – Węgra, który tak wiele uczynił dla miasta i tak bardzo pokochał pienińskie krajobrazy.

### **MORSKIE OKO**

#### **Obiekt głośnego wzajemnego sporu**

Największe i najpiękniejsze z tatrzańskich jezior, położone na wysokości 1392 m n.p.m. Morskie Oko (862 m długości, 566 m szerokości, 35 ha powierzchni, 50 m głębokości) w ostatnich latach XIX stulecia było obiektem zacieklego polsko-węgierskiego sporu.

Rząd austriacki, aby ratować skarb państwa mocno nadwyrężony wojnami napoleońskimi, zdecydował się sprzedać położone po dawnej polskiej stronie dobra galicyjskie w Tatrach. Zakopane, będące wówczas jeszcze małą góralską wioską, a także Morskie Oko i otaczające je wysokie skaliste szczyty kupił na licytacji we Lwowie w roku 1824 węgierski ziemianin i przemysłowiec Emanuel Homolacs. Tereny te często zmieniały potem właścicieli, ale na koniec nabył je za 460 tys. zł reńskich hrabia Władysław Zamoyski, wywodzący się z Wielkopolski arystokrata i gorący polski patriota. Natomiast przylegające do tych obszarów ziemie po stronie węgierskiej (tzw. dobra jaworzyńskie) będące tradycyjnie własnością rodową Pałocsayów a potem Salamonów zakupił niemiecki książę Christian Hohenlohe.

Ten pochodzący z Prus wielmoża był zagorzałym myśliwym. W Jaworzynie wybudował okazały myśliwski pałacyk, wokół którego założył rozległy, bo liczący 1200 ha lasów i hał, zwierzyńiec. Całość otoczył masywnym płotem i drutem kolczastym, prowadząc to ogrodzenie aż po najwyższe granie Tatr. W tej zamkniętej enklawie książę trzymał sprowadzone tu żubry, bizona i koziorożce, a także miejscowe niedźwiedzie, jelenie, kozice i świstaki. Niemiec wszelkimi sposobami starał się włączyć do swego zwierzyńca tereny wokół Morskiego Oka i wysuwał żądania poprowadzenia granicy pomiędzy Galicją a Węgrami przez sam środek tego tatrzańskiego jeziora. Wywoływało to zrozumiałe sprzeciw hrabiego Zamoyskiego i skupionych wokół niego polskich środowisk. Dochodziło do utarczek i krwawych bijatyk pomiędzy strażnikami leśnymi oraz wszelkimi innymi służbami księcia i hrabiego. Regularne walki toczyły się pomiędzy wspierającymi Christiana Hohenlohe żandarmami węgierskimi a tutejszymi góralami (miejsce po usytuowanym wtedy w sąsiedztwie Morskiego Oka posterunku wojskowym nosi dziś nazwę Żlebu Żandarmerii).

Przez kilkanaście lat Wiedeń zasypany był wzajemnymi oskarżeniami obydwu stron, przebieg granicy był też stałym punktem obrad każdego z posiedzeń rządu w Budapeszcie. W roku 1897 Franciszek Józef I, jako cesarz austriacki i król węgierski, podpisał ustawy obydwu parlamentów oddające sprawę w ręce niezależnego międzynarodowego

trybunału. Na stanowisko superarbitra zespołu orzekającego wybrano dra Johanna Winklera z Lozanny, prezydenta szwajcarskiego sądu związkowego. Na rozprawie w Gruz (11 września 1902) strona polska udowodniła, że sporne tereny zawsze należały do Polski i międzynarodowy trybunał pozostawił Morskie Oko w granicach Galicji.